

Kamerun – niepodległość w progresie

4 września 2017

Rok 2017 zaznaczył się kolejną erupcją napięcia w zachodnim Kamerunie. I tak samo jak poprzednio, nie znaleziono satysfakcjonujących rozwiązań, konflikt tli się nadal. Może okazać się, że ponownie wybuchnie – szybciej, niż by się ktokolwiek spodziewał, bo przyszedł rok wyborczy, a zatem polityczne emocje znów się rozpalą. I tym razem może się to nie skończyć tak jak zwykle.

Kamerun to kraj spokojny. Miarą tego spokoju jest, że od uzyskania niepodległości ponad 50 lat temu zaliczył tylko jeden przewrót i jedną zmianę na stanowisku głowy państwa – obecnie urząd ten sprawuje światowy rekordzista, rządzący od 1982 r. prezydent Paul Biya. Dlatego informacje na temat Kamerunu rzadko pojawiają się w mediach. Czy znaczy to, że jest to kraj bez problemów? Zdecydowanie nie. Rzecz w tym, że problemy te nikogo do tej pory nie obchodziły. Tak może być jednak do czasu. Bo nierozwiązana od pół wieku kwestia sytuacja anglofońskiej mniejszości w końcu wybuchnie na dobre i w Afryce – ku zaskoczeniu wszystkich – pojawi się kolejny punkt zapalny. Będzie to jednak zaskoczenie fałszywe, bo sprawa wcale nie jest nowa, tylko od zawsze była zamykana pod dywan.

KOLONIALNA SPUŚCIZNA

Do czasów I wojny światowej Kamerun był posiadłością niemiecką. Po jej zakończeniu stał się terytorium mandatowym Ligi Narodów, wtedy jednak podzielony został na dwie części, z których jedną – większą, obejmującą wschód kraju – administrowała Francja, drugą – zachodnią, graniczącą z Nigerią – Wielka Brytania. Najpierw niepodległość uzyskała część francuska – (1 stycznia 1960 r.) w części brytyjskiej

przeprowadzono zaś referendum, w którego wyniku mieszkańcy północnej części kraju wybrali przyłączenie się do Nigerii, południowa zaś część brytyjskiego terytorium mandatowego zdecydowała się związać swoją przyszłość z państwem kameruńskim. Pokazuje to także, że mimo iż system terytoriów mandatowych Ligi Narodów (a potem ONZ) teoretycznie zakładał, że ma to być administracja tymczasowa, nakierowana na wyprowadzenie tych krajów na niepodległość, w praktyce doprowadził do konsekwencji, które łatwo było przewidzieć, pod warunkiem wszakże, że komuś chciałoby się na d tym zastanowić. W przypadku Kamerunu sprawa podziału schedy po koloniach niemieckich między zwycięzców okazała się ważniejsza od jego integralności, a konsekwencje tej decyzji – przy czym zdaniem samych Kameruńczyków nikt specjalnie się nie przejmował. W 1961 r., uznając, że brytyjska część Kamerunu nie będzie mogła samodzielnie funkcjonować, ONZ – na przekór żądaniom organizacji politycznych z brytyjskiej części Kamerunu, domagających się niepodległości – nie wyraziła na to zgody, zezwalając jedynie na wybór pomiędzy związkiem z dawnym Kamerunem francuskim a Nigerią.

W rezultacie powstał układ szczególny – nie tylko, jak to zwykle jest w afrykańskich państwach, które odziedziczyły swoje granice po dawnych posiadłościach kolonialnych – Kamerun jest państwem wieloetnicznym, ale także sklejonym z dwóch części, w których używa się różnych języków urzędowych – francuskiego i angielskiego – i dziedziczących różne tradycje administracyjne i prawne. Jeśli zważymy, że podział Kamerunu został przeprowadzony w okresie, kiedy formowały się tak struktury administracji, systemy edukacyjne jak i nowoczesne społeczeństwo starające się zbudować swoje poczucie tożsamości i instytucje polityczne – konsekwencje tej dwoistości będą oczywiste. Dodać do tego należy, że obie części są Kamerunu mają różne potencjały nie tylko ze względu na rozmiar, ale na poziom rozwoju. Od początku zatem – od konferencji w Foumban w lipcu 1961 r., na której ustalono zasady połączenia obu terytoriów w jedno państwo – datuje wśród anglojęzycznych

Kameruńczyków poczucie marginalizacji. Na konferencji bowiem nie poczyniono formalnych ustaleń, a obietnice ówczesnego prezydenta Kamerunu okazały się niewiążące. W rezultacie powstało państwo federacyjne, które bardzo szybko zaczęło się centralizować wokół ośrodka władzy w Yaoundé. Niewiele ponad 10 lat później, na mocy referendum, Kamerun stał się „zjednoczoną republiką”, a ostatnie pozory federalizmu zanikły nawet w sferze czysto symbolicznej – w 1984 r. z flagi kameruńskiej znikła jedna z dwu gwiazd symbolizujących, że państwo to składa się z dwu historycznie uformowanych części.

NIEDOKOŃCZONA NIEPODLEGŁOŚĆ

Ponieważ do 1990 r. w Kamerunie funkcjonował system jednopartyjny, anglofoni nie mieli praktycznie żadnych środków, by w ramach legalnego procesu politycznego starać się przeciwdziałać postępującej marginalizacji. Dopiero po zmianie systemu politycznego mógł powstać federalistyczny Front Socjaldemokratyczny. Odżyły także głosy separatystów domagających się pełnej niepodległości. Nie przyniosło to jednak żadnych widocznych rezultatów – społeczność międzynarodowa nie zwracała na sytuację w Kamerunie większej uwagi, tradycyjnie obawiając się tendencji separatystycznych – z wyjątkiem tych, które z tych czy innych powodów chciały rozgrywać mocarstwa. Ale Kamerun – nie wiadomo, czy to dobrze, czy nie – pozostawał w sferze wpływów tylko jednego, zainteresowanego tym, aby panował w nim spokój i centralistyczny system władzy – Francji. Może dlatego nie podzielił losu Jugosławii czy Sudanu.

Nasilenie napięcia pomiędzy anglofońską a frankofońską częścią Kamerunu po raz kolejny wzmoгло się w październiku 2016 r., kiedy to w Bamenda rozpoczął się strajk anglojęzycznych prawników. Jego bezpośrednim powodem było żądanie przełożenia na angielski Kodeksu organizacyjnego harmonizacji prawa gospodarczego, faktycznie jednak podłoże protestu było znacznie głębsze i dotyczyło marginalizowania teoretycznie obowiązującego w anglofońskiej części Kamerunu systemu prawa

zwyczajowego (Common Law), zastępowanego w praktyce przez system prawny wywodzący się z tradycji francuskiej. Protestu nie złamała brutalna odpowiedź policji. Przeciwnie – rozszerzył się jeszcze bardziej. W listopadzie do strajku przyłączyli się także nauczyciele, organizacje studenckie i związki zawodowe. Tym samym obszar konfliktu także się rozszerzał, obejmując nie tylko żądania z zakresu prawa, ale także edukacji i spraw społecznych, gdyż każda z grup przyłączających się do protestów miała swoje żale i swoje postulaty. Pomimo dalszych represji, w tym aresztowań prominentnych postaci anglofońskiej społeczności konfrontacja zaostrzała się.

DO GRANIC, ALE NIE POZA NIE

Reakcja rządu w Yaoundé była niekonsekwentna. Początkowo próbowano rozmów, ale te nie doprowadziły do uspokojenia sytuacji. Ich załamanie nastąpiło 13 stycznia 2017 r. Przyczyny tego załamania nie są jasne. Według jednej wersji, przyczyną zerwania dialogu była kolejna brutalna akcja policyjna, według drugiej – włączenie do agendy rozmów postulatu secesji, a na ten temat strona rządowa rozmawiać nie chciała. Bardzo możliwe jednak, że podkreślanie przez rząd pojawienia się postulatu secesji było próbą ucieczki od dyskusji wywołaną obawą, że niepokoje mogą rozszerzyć się także na część francuskojęzyczną. Bo zauważyć trzeba, że wiele ze zgłaszanych przez protestujących postulatów – zwłaszcza z zakresu polityki społecznej i edukacyjnej – równie dobrze mogliby także przyjąć za swoje także frankofoni. Bo choć anglofoni uważają (przypomnijmy – nie bez racji), że są marginalizowani i frankofońska część kraju rozwija się ich kosztem, nie znaczy to wcale, aby w tej drugiej wszystko działało się świetnie i wszyscy byli zadowoleni. W Kamerunie bowiem dobrze dzieje się praktycznie tylko zdominowanej przez frankofonów (tylko jeden z 36 ministrów pochodzi z części angielskojęzycznej) elicie władzy. Reszta społeczeństwa ma się tak sobie. W takiej sytuacji rządowi wygodniej było schować

się za argumentem, że istota sporu dotyczy secesji – rozbicia jedności kraju – a nie spraw o znaczeniu generalnym. Rząd zatem starał się czynić gesty, mające świadczyć, że pochyła się, na przykład, nad problemem dwujęzyczności w szkołach, równocześnie kontynuując aresztowania przywódców protestów i represje obejmujące m.in. wyłączenie na trzy miesiące dostępu do internetu (przywrócono go dopiero w kwietniu 2017 r.), aby utrudnić organizowanie manifestacji za pośrednictwem sieci społecznościowych. Liderzy opozycji są oskarżani i sądzeni za działalność terrorystyczną, bo tak kwalifikowane są nawoływania do buntu. Słowo „terrorysta” nie tylko w Kamerunie już dawno straciło swój sens i rządzący wszelkiej maści chętnie używają go, aby dezawuować swoich przeciwników. A przy okazji – stosować wobec nich zaostrzone sankcje.

WYPALONY KRYZYS?

Jak bywa w takich razach, gdy protesty są w gruncie rzeczy ignorowane przez rządzących i nie sposób utrzymać mobilizacji społecznej na wysokim poziomie nawet, jeśli wymusza się zaangażowanie (jak, co trzeba zaznaczyć, robią to organizacje młodzieżowe w anglofońskiej części Kamerunu) konfrontacyjne nastroje stopniowo zaczęły się wypalać i to nie tylko ze względu na represje. Nie bez znaczenia jest fakt, że wśród samych anglofonów są głębokie podziały i nie ma jednej koncepcji rozwiązania, na którą wszyscy by się godzili. Strategiczne koncepcje reformy państwa opierają się od dekad na tych samych koncepcjach – federacji dwu państw, federacji czterech państw (bardziej realistycznej, bo jednak anglofoni stanowią ok. 1/5 ludności kraju), całkowitej secesji (bardziej ryzykownej, bo pewnie nie obyła by się bez wojny, do której tak naprawdę żadna strona nie jest gotowa). Do tego dodać trzeba, że również różnice pomiędzy dwiema prowincjami zdominowanymi przez ludność anglofońską także mają swoje znaczenie, a za nimi stoją także różnice etniczne – kameruńscy anglofoni nie są bowiem grupą etnicznie homogeniczną. W rezultacie zatem taktyka prezydenta Biyi – jeśli w ogóle można

mówić w tym przypadku o taktyce – okazała się skuteczna. Trochę zastraszyć, trochę pojednawczych gestów, a sprawa sama przycichnie.

Biyi pomogła też obojętność społeczności międzynarodowej, zawsze dość obojętnej na to, co dzieje się w Kamerunie. Wiadomo – Kamerun to domena Francji. Jak kiedyś powiedział o stanowisku ambasadora w Yaoundé pewien francuski dyplomata, to nie jest tak naprawdę zagranica; to „banlieu parisien”. Nikt zatem bez widocznej przyczyny nie będzie mieszał się w jego sprawy. Do tego dochodzi jeszcze argument gospodarczy – Zachodnia Europa lubi prezydenta Biyę, bo jego profrancuska polityka owocuje także tym, że Kamerun jest bardziej otwarty na relacje gospodarcze z Europą, a stosunkowo niechętny w stosunku do kontaktów z Chinami, coraz bardziej aktywnymi w Afryce i coraz bardziej wypierającymi z niej Europejczyków. W rezultacie, zatem, Niemcy i Wielka Brytania, nie mówiąc już o Francji, powstrzymały się od publicznych oświadczeń na temat sytuacji w Kamerunie i ograniczyły się do „presji dyplomatycznej”. Czyli do powstrzymania się od działania. Podobnie zareagowały Stany Zjednoczone. Może najbardziej skuteczny był papież Franciszek, bo to po wizycie prezydenta Biyi w Stolicy Apostolskiej w anglofońskich prowincjach znów zaczął działać internet, co przypisuje się jego interwencji. Jedynie organizacje takie jak Amnesty International czy Human Rights Watch podnosiły sprawę represji wobec przywódców kameruńskiej opozycji.

TO JESZCZE NIE KONIEC

Jak już wspomniałem, przyszły rok prawdopodobnie będzie okresem politycznego ożywienia, a to z racji nadchodzących wyborów. Jak dotąd, prezydentowi Biyi udawało się przetrwać wszystkie wybory i nigdy nie musiał liczyć się z żadną siłą opozycyjną, która poważnie by mogła mu zagrozić. Choć Kamerun nie jest już od dawna państwem jednopartyjnym, polityczny monopol należy do rządzącej RDPC (Rassemblement démocratique du Peuple Camerounais / Cameroon People's Democratic Movement

– Ruch Demokratyczny Ludu Kameruńskiego). Prezydent nie musiał też nigdy obawiać się opozycji wewnątrz własnej partii, bo choć jest głową państwa o zadziwiających skłonnościach do absenteizmu, jego pozycja nie była nigdy zagrożona. Może dlatego, że – co częste w systemach zbudowanych wokół wieloletnich rządów jednej osoby – ceną tak osiągniętej stabilności jest inercja. W systemach takich lepsze szanse mają zręczni klakierzy, umiejący przy tym korzystać z apanaży władzy, niż idący pod prąd reformatorzy. Ci, jako tworzący zagrożenie, są odsuwani. Dodać też trzeba jeszcze, że Kamerun, jak wiele innych państw afrykańskich, jest w gruncie rzeczy kleptokracją. Na indeksie Transparency International w 2016 r. zajął 145. miejsce – o 10 miejsc za uważaną za wzór skorumpowanego państwa Nigerią. Jest to kleptokracja tym bardziej patologiczna, że stabilna. Ta sama elita władzy od dziesięcioleci drenuje państwo.

Praktykom korupcyjnym przypisywany był tzw. „kryzys ekonomiczny” w Kamerunie w latach 1990. W praktyce, nie został on przewyciężony, raczej tylko przestał być traktowany jako „kryzys”, ale stał się stanem permanentnym. Tym razem jednak dochodzi do tego pogorszenie sytuacji gospodarczej. Kamerun – podobnie jak Angola, Nigeria czy Wenezuela – został dotknięty przez spadek cen ropy naftowej. Choć Kamerun nie jest jej wielkim producentem, to jednak 40 proc. jego PKB pochodzi z sektora naftowego. Do tego w ubiegłym roku dotknęła go ptasia grypa, w rezultacie czego 80 proc. drobiu padło lub musiało zostać wybite. Nawiasem mówiąc – to mogła być faktyczna przyczyna wzrostu napięć w regionie anglofońskim, bo właśnie tam koncentrowała się hodowla drobiu. A kurczak w Afryce to nie tylko symbol, ale realność dostatku. To dzięki quasi-przemysłowej hodowli drobiu, do niedawna żywności luksusowej, mięso stało się dostępne nawet dla przeciętnie zamożnych i uboższych warstw społeczeństwa. Gospodarcza stagnacja, wzrost cen, wszystko to powoduje, że poziom społecznego niezadowolenia rośnie. A sam prezydent Biya ma już 84 lata. Może polityczna elita postanowi odroczyć nieuchronne

przetasowanie i wystawi go znów jako kandydata, który nie ma z kim przegrać. A może nie?

Do wzrostu niepokoju w prowincjach anglofońskich może jednak dojść już znacznie wcześniej. Jedną z osi sporu dotyczyła bowiem spraw edukacji, a rok szkolny zaczyna się wkrótce. Jeden rok uczniowie praktycznie stracili w całości. Na kampusy wrócą jednak również po wakacyjnej przerwie studenci, a to oni – oprócz związków zawodowych – byli *spititus movens* wymuszającym trwanie protestu.

Autorstwo: Grzegorz Waliński

Źródło: Strajk.eu